

# Szprotki w skansenie

W zagrodzie zwanej Niebowo jest bielona chata pokryta strzechą, a w niej autentyczny piec chlebowy, jest wędzarnia i zapiecek. Są manekiny ubrane w regionalne stroje ludowe, a izby ozdobiono zgodnie z tradycją. W obejściu znajdują się też warsztat stolarski z wyposażeniem sprzed lat oraz rozmaite narzędzia służące niegdyś do pracy w gospodarstwie.

Krzysztof Moczek, współwłaściciel Niebowa, żartuje, że jego żona jest ofiarą edukacji przedszkolnej. Chodziła bowiem do przedszkola o profilu etnograficznym w Opocznie – były to lata siedemdziesiąte. Edyta Cieślik-Moczek, śmiejąc się z żartu, prostuje jednak sprawę. W latach dziecięcych wakacje spędzała u rodziny w okolicach Wincentynowa. Tu nasiąkała kulturą ludową. Po podstawówce skończyła Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych w Kielcach, a potem studiowała wychowanie plastyczne w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Częstochowie i przez 35 lat mieszkała z mężem w pobliżu tego miasta.

– Pracując w edukacji, miałam długie wakacje, które rodzinie spędzaliśmy w okolicach Opoczna. Dwadzieścia parę lat temu postanowiliśmy kupić tu kawałek ziemi, więc zaczęłam szukać takiej prawdziwej opoczyńskiej wsi. Moja ciocia powiedziała „jedź na Maziarnię” – opowiada Edyta Cieślik-Moczek. I tak odkryli Wincentynów, który na mapach sprzed 1918 roku oznaczany był jako Maziarnia. Pani Edyta ma dwa wytłumaczenia niegdyśjszej nazwy. Przez ten teren przechodziła linia frontu pierwszej wojny światowej. Z jednej strony, pod lasem, w okopach kryli się Rosjanie, w lesie zaś byli Austro-Węgrzy – czyli tak jakby Madziarzy. I stąd mogła wziąć się ta nazwa – mówi właścicielka Niebowa, ale zaraz dodaje, że bliższe jest jej drugie wytłumaczenie nazwy: – Maziarze to byli ludzie zajmujący się produkcją dziegiu, a wokół są lasy, więc surowca było pod dostatkiem.

Na zakupionej działce były obórka, stodoła i chałupa z początku XX wieku. Właśnie ten stary dom kryty strzechą zafascynował panią Edytę, gdy przyjechała do Wincentynowa. – Był dla mnie symbolem raju dzieciństwa, do którego chciałam powrócić – wspomina.

Najpierw wyremontowali z mężem dom, w którym dosyć krótko mieszkali, by potem przenieść się do przebudowanej na mieszkanie obory. Dziś mieszkają w jeszcze innym drewnianym budynku, przeniesionym ze Sługocic w okolicach Tomaszowa Mazowieckiego. – Drewnianą architekturę, zwłaszcza starą, zawsze darzyłam estymą – mówi pani Edyta.

Gdy państwo Moczkowie zaczęli przemieszkować w Wincentynowie, pani Edyta zastanawiała się, jak się wpasować w tutejsze społeczeństwo. Pomogło nazwisko. Kobieta, od której kupili działkę, z domu była Cieślik, w sąsiedztwie też mieszkają Cieślikowie, więc choć pani Edyta była we wsi nowa, to jednak nie zupełnie obca.

– Jednak chciałam bardziej wejść w społeczność. Wymyśliłam, że z okolicznymi mieszkańcami najlepiej zaprzyjaźnić się przez dzieci. Zorganizowałam warsztaty – mówi Edyta Cieślik-Moczek. To nie było trudne zadanie, przecież wcześniej zajmowała się edukacją plastyczną. Wymyśliła, żeby zamiast tradycyjnych wycinanek robić „wycinanki piaskowe”. Przed świętami, zwłaszcza przed Wielkanocą, gospodynie domowe na wsiach omiały ścieżki wokół domów, a potem z piasku wysypywały na nich rozmaite wzory. – My na warsztatach „rysujemy” klejem żelowym na kartonach wzory wycinanek, a potem sypiemy na to kolorowy piasek. Wszystko zasycha i powstaje ciekawa praca – autorka zdradza technikę swoich „piaskowych wycinanek”. Nadają się dla wszystkich grup wiekowych, wyciszają, bo sypanie piasku wymaga koncentracji. Po sukcesie pierwszych warsztatów dla dzieci z sąsiedztwa pojawili się inni chętni na zajęcia, więc w Niebowie organizowano następne.

Potem przyszła kolej na własną twórczość. – Wcześniej nie miałam na to czasu. W Wincentynowie postanowiłam zająć się czymś swoim, wybór padł na glinę i ceramikę – opowiada. – Robię kompozycje przestrzenne, rzeźbię i maluję konie. Wymyśliłam też ceramiczne różgi, inspirowane

takimi z bibuły, które robią twórczynie ludowe. Ustawiano je kiedyś w formie bukietu przy domowych ołtarzykach. Poza różgami robię kwiaty, maluję je i montuję na deskach. Staram się łączyć tradycję z dostępnymi mi technikami, co wprowadza innowacje do mojej twórczości. Makatki, które tradycyjnie były haftowane, maluję na płótnie i wieszam, rozpięte na blejtramach. Warsztatów ceramicznych jeszcze tu nie było, ale właściciele rozważają taką możliwość. Prowadzenie zajęć i zarabianie na tym nie jest w Niebowie priorytetem. – Moja córka żartuje, że jesteśmy szprotkami biznesu i stały dochód zapewniają nam emerytury, a głównym celem powstania Niebowa jest chęć podtrzymania historii miejsca i krzewienia kultury wsi opoczyńskiej – mówi pani Edyta.

Przy ogrodzeniu stoi figura świętego Wincentego. – Skoro jest Wincentynów, to powinien mieć swojego biblijnego patrona. Świętych Wincentych jest pięciu – czytałam więc żywoty świętych, żeby znaleźć właściwego – opowiada pani Edyta. – Ten z Saragossy jest patronem rolników, drwali, leśników, żeglarzy (a mój mąż żegluję), dzieci oraz producentów wina i tych, którzy je piją – wybrałam więc jego, a znajomy artysta wyrzeźbił w wapieniu postać świętego. Ponieważ po męczeńskiej śmierci za czasów cesarza Dioklecjana zwłoki Wincentego obciążone kamieniem młyńskim Rzymianie bezskutecznie próbowali utopić w morzu, nasz święty ma podstawę z koła do żaren, a cokol jest ze słupów ze starego płotu. Odślonięcie figury świętego Wincentego miało charakter uroczysty. Pod figurą cementem zalano akt erekcyjny, podpisany przez aktualnego i dwóch byłych sołtysów, sąsiadki ze wsi i księdza, który figurę poświęcił. Potem w skansenie była potańcówka.

A skąd właściwie nazwa Niebowo? – Mój mąż tak wymyślił. W gwarze opoczyńskiej, choć nie tylko, kolory farb używanych do barwienia wełny na wełniaki miały swoje tradycyjne nazwy. Gdy kobieta przychodziła do farbiarza, mówiła, żeby ufarbował jej na kolor koci, trawiasty, biskupi, dubeltowy albo niebowy, czyli niebieski wpadający w turkus. I stąd nazwa. Od koloru nieba nad Wincentynowem – wyjaśnia pani na Niebowie.

Bogumił Makowski